

Mateusz Miller

Międzywydziałowe Studia Ochrony Środowiska

Dni z przyszłości (Rok 1984 czterdzieści lat później)

Czekałem na to zielone światło, choć przecież wokół nie było żywej duszy, chodziłem tą wytyczoną ścieżką w szwedzkim sklepie meblowym, która zdawała się nigdy nie kończyć. Zastanawiałem się często jak można to poprawić, żeby było lepiej, wygodniej. Codziennie dostawałem odpowiedzi.

Sygnalizacja świetlna? Samochody łączyły się ze sobą i z systemem sterowania ruchem, który wiedział kiedy optymalne jest włączyć zielone światło aby ruch był płynny. Oczywiście, nie dotyczyło to pojedynczych skrzyżowań, tylko całego miasta, jednego żyjącego organizmu. System Infotainment w samochodzie wiedział gdzie chwilowo stworzył się zator i prowadził mnie tak aby tych korków uniknąć, nawet kosztem nadłożenia drogi. Początkowo mogłem ustawić opcję najkrótszej trasy, z czasem jednak i z kolejną aktualizacją, ta opcja zniknęła, bo przecież liczył się cały organizm, a ja jechałem po bułki naokoło. Nie szkodzi.

Ikea? Już tam nie chodziłem. Po prostu nie musialem. Kiedy zdecydowaliśmy się w końcu zamieszkać razem, wynajęliśmy mieszkanie. Z umeblowaniem pustej przestrzeni nie było problemu. Oboje wyciągnęliśmy telefony i skanowaliśmy całe mieszkanie, a aplikacja sama dobierała nam aranżację całego wnętrza. Pewnie z boku wyglądało to jak dziki taniec szalonych ludzi z pudełkiem w ręku. Rozszerzona rzeczywistość załatwiła sprawę i po 30 minutach wybierania krzesel, wazonów i czegoś co Ania nazywała gilrandą(?) siedzieliśmy już w umeblowanym salonie. Początkowo salon umeblowany był tylko w telefonie, ale odcisk palca i potwierdzenie płatności załatwiło sprawę. Po dwóch godzinach nadleciał rój dronów. Takich którymi w dzieciństwie latał mój chrześniak chwilę po swojej komunii. Fakt, te które dostarczyły meble były trochę większe. Przed każdym blokiem, czasem na dachu, było lądowisko jak dla helikopterów, gdzie drony dostarczały wszystko. Nawet meble. Niestety, szafy i komody dalej trzeba składać samemu. Nie szkodzi.

Kiedy, już dobre parę lat temu, włamano się do jednego z większych serwisów społecznościowych, przy okazji wykradzono dane prawie 500 milionów użytkowników. Oczywiście byłem wśród nich i oczywiście byłem w tej małej grupie kilku tysięcy osób których hasła, zapisane plain textem, trafiły do Internetu.

Od tego czasu stałem się fanatykiem cyberbezpieczeństwa. Na pierwszy ogień poszedł menadżer haseł, wszystko zabezpieczone, hasło główne, które było jedynym które musiałem zapamiętać, było długości pociągu. Oczywiście dwustopniowa weryfikacja, czasem sprzętowa, w postaci weryfikatora USB, czasem poprzez telefon i masę kodów. Poprzez anonimowy blockchain walutowy wykupiłem VPN, oczywiście panamski, aby przypadkiem Wujek Sam bądź Mateczka nie zostawili sobie tam otwartej furtki. Później tylko kosmetyka, konfiguracja DNSów, zabezpieczona poczta, fizyczne karty zdrapki do płatności, zaszyfrowane komunikatory do których tygodniami przekonywałem rodzinę i znajomych. Byłem ubezpieczony.

Problemy przyszły z czasem. Po 2 latach zdecydowaliśmy się z Anią, że czas pójść na swoje. Rodzice bardzo nam pomogli, ale bez kredytu nie było szans się obejść. Po wypełnieniu wniosku kredytowego nie czekaliśmy nawet godziny na odpowiedź. Negatywną. Od momentu przejścia do cyberklasztoru, zniknąłem z sieci, więc bank nie wiedział na co wydaje pieniądze, co robię i czym się interesuję. Po powrocie do domu, rozpoczęła się mała wojna. Byłem czubkiem bo komu normalnemu przeszkadza, tak nie żyją normalni ludzie. Racja. Ugiąłem się i z mojego cyberklasztoru pozostały tylko ruiny w postaci bezpiecznych haseł. Nic więcej. Wróciłem do kart kredytowych, sieciowi „podglądacze” znów widzieli czego szukam w Internecie, co kupuję i jakiej drużynie piłkarskiej kibicuję.

Po pół roku, moja zdolność kredytowa urosła. Firma ratingowa zajęła się moim profilem, przeanalizowała mój ruch w Internecie, zakupy, wpisy, zachowania i przyznała mi ocenę B+, czyli niezłe zarobki i średni profil społeczny co skutkowało podwyższoną ISP (indywidualna stopa procentowa). Sam kredyt też mógłby być tańszy, ale z uwagi na to, że wciąż kupuję i palę papierosy, musieliśmy wykupić obowiązkowe ubezpieczenie kredytu. Nie szkodzi.

Kiedy po śmierci ukochanej babci, Ania poszła do psychoterapeuty ten najpierw pobrał jej indywidualny profil Google, a ów pan już wiedział z jaką osobą przyszło mu się mierzyć na kozetce. Kiedy zniknął papierowy pieniądz, niewiele osób na świecie chociaż mrugnęło, co dopiero mówić o dezaprobacie. Wszyscy i tak płacili telefonem, kartą kredytową, zegarkiem. Wszystkim byleby nie dotykać tych parszywych świstków.

Kiedyś wyłączyłem na chwilę autopilota w samochodzie, zapomniawszy o tym, skasowałem cały tylny zderzak. W tym samym miesiącu wzrosła rata kredytu mieszkaniowego. Wtedy mrugnąłem.

Dwa razy mrugnąłem, kiedy usłyszałem o obowiązkowym „szczepieniu dzieci”. Aby rodzice i służby porządkowe wiedziały czy ich pociechy są bezpieczne, te ostatnie dostają zastrzyk z mikropastylek, które pozycjonują położenie dziecka z dokładnością do 50 metrów. Przez chwilę byłem oburzony, ale z drugiej strony, sam za chwilę będę miał takiego małego szkraba, a on będzie wtedy całym moim światem. Każdy pomysł, który sprawia że dzieci są bezpieczniejsze jest godny pochwały. Przecież przyszło im żyć w tak strasznych i bardzo niebezpiecznych czasach.

Przypomniało mi się, że kilkanaście lat wcześniej, podobna weterynaryjna przyjemność czekała mojego śp. Supelka, który ciągle rył podkopy pod płotem i uciekał w pogoni za wolnością i odrobiną błota. Cóż, taka jest cena postępu. Nie szkodzi.